

KRZYS WSCHODNI

GRZEGORZ W.
KOŁODKO

Zimnowojenny amok

Zainteresowane podsycaniem napięć politycznych są różne grupy, w tym także lobby energetyczne.

Historyczny przełom polityczny lat 1989-1991 - dokonany także za sprawą polskiego Okrągłego Stołu, przy którym owocnie debatowaliśmy jedną trzecią wieku temu - zakończył zimną wojnę. Tamtą zimną wojnę, którą teraz trzeba określać jako pierwszą, bo oto coraz bardziej nasila się druga zimna wojna. Choć tamtą zasadniczo wygrał Zachód z USA na czele, to niestety nie potrafił wytrwać zbyt długo w poczuciu imperatywu budowy świata wielobiegunowego, opierającego się na równowadze sił i pokojowej współpracy. Konserwatywne siły Zachodu, zwłaszcza w Waszyngtonie i Londynie, nie potrafiły żyć bez wroga. Gdy go nie ma, muszą sobie go stworzyć. I to jest jedna z przyczyn obecnego zaoznajającego się konfliktu wokół instrumentalnie przecież traktowanej Ukrainy. Szkoda jej, bo piękny to kraj.

Fobie chodzą parami

Podkreślanie napięć pierwszej zimnej wojny miało zniszczyć ZSRR. To się udało, gdyż jego gospodarka nie była w stanie udźwignąć olbrzymich, wciąż rosnących w latach 80. kosztów zbrojeń. Niezwykle prymitywne jest stosowanie analogicznego podejścia współcześnie wobec Chin, one bowiem - ze swoją gospodarką i jej kadrami, z zasobami finansowymi i technologiami - dadzą sobie radę. Ani nie rozpadnie się ten wielki kraj, ani nie upadnie ustroj tego państwa, ani nie załamie się jego gospodarka, co marzy się niektórym zachodnim politykom pozbawionym wiedzy i wyobraźni. Z Chinami rozsądnie trzeba się ułożyć co do zasad współistnienia, a nie starać się im zaszkodzić na wszelkie sposoby. Jakże nieodpowiedzialna jest amerykańska polityka, która chociażby słowami sekretarza handlu Giny Raimondo wzywa europejskie państwa sojusznice do współdziałania w „spowolnieniu tempa innowacji w Chinach”. To szokujące, że administracja prezydenta Joe Bidena jest jeszcze bardziej gorliwa w swojej sinofobii, niż miało to miejsce podczas prezydentury Donalda Trumpa. Co gorsza, negaszącej sinofobii towarzyszy żarliwa rusofobia. W podsycaniu tych dwu fobii prym wiodą Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, które usiłują wciągnąć w ten wir Unię Europejską i niektóre inne państwa, zwłaszcza Japonię, Koreę Południową i Australię.

Powodów, dla których tak się dzieje, jest splot cały i warto je zrozumieć, póki nie jest za późno. Główna przyczyna to amerykańska megalomania, z której politycy cierpiący na przerost narodowego ego nie potrafią się wyzwolić. USA swoje „pięć minut” już miały. Trwały one kilkanaście lat, od iluzorycznego „końca historii” w 1990 r. do wywołanego anglo-amerykańskim neoliberalizmem kryzysu gospodarczego lat 2008-2009. USA nie sprawdziły się w roli światowego przywódcy po zakończeniu pierwszej zimnej wojny, bo jeśli

w ogóle ktokolwiek mógłby taką rolę odgrywać, to jedynie kraj uczciwej polityki troszczącej się o dobro mieszkańców tego świata, a nie o interesy własnych elit, często kosztem ludności innych państw. Okazuje się jednak, że mania wielkości mało znających i rozumiejących ten wędrujący świat elit politycznych nad Potomakiem i Tamizą trwa. Elit politycznych, bo te kulturowe, naukowe i biznesowe wcale nie są zainteresowane eskalacją zimnowojennych napięć. Wręcz odwrotnie; pragną wielostronnej i, co oczywiste, korzystnej współpracy. To ten czynnik w końcu weźmie górę, tyle że już po poniesieniu kosztów irracjonalnej polityki, którą obecnie przy pomocy medialnego zgielku szantazuje się bez mała cały świat.

Są wszakże grupy interesu, które jak najbardziej są zainteresowane eskalacją zimnej wojny. Tylko zimnej, bo ta im

niewiele ponad bilion w 1996 r. To istotnie zwiększyło środki na finansowanie rozwoju społeczno-gospodarczego, ale automatycznie obniżyło lukratywne dochody przemysłu zbrojeniowego z jego ośrodkami badawczymi i rzecznikami brylującymi w skorumpowanych mediach i polityce.

W ślad za *détente* miejsce na świeczniku zajmowane dotąd przez lobby wojskowe skrzętnie zajęło lobby finansowe. Coraz więcej miały do powiedzenia giganty bankowości i spekulanci rynkowi, relatywnie coraz mniej liczyły się koncerty zbrojeniowe. Ale nadszedł kryzys finansowy 2008 r. i role krzyż się odwróciły. Skompromitowani finansisci musieli zejść z piedestału, by ponownie mogli tam wstąpić handlarze śmierci. Argumentów im nie brakowało, bo już o to zadbaną - wojna w Afganistanie, inwazja Iraku, zamieszki w Libii, konflikt w Syrii, wojna w Jemenie.

cięż zwłaszcza pragmatyczne Niemcy i Francja, a także Włochy nie zachowują się tak samo jak USA i Wielka Brytania. Cały Zachód natomiast już żałuje, że ukraiński syndrom wzmacnia strategiczny sojusz chińsko-rosyjski. Jakież to paradoks dokładnie pół wieku po tym, jak prezydentowi Nixonowi przy pomocy kunsztu dyplomatycznego Henry'ego Kissingera udało się coś odwrócić.

Oczywiście, wszyscy chcą się bronić, nikt nie zamierza atakować. No, może z wyjątkiem USA, których prezydent śmie grozić innym, w tym swojemu sojusznikowi, Niemcom (!), że w razie czego unieruchomią (sabotażem?) gazociąg Nord Stream 2 - cudzą własność, pod morzem, kilka tysięcy kilometrów od własnego kraju... I jednym tchem deklarują gotowość zaopatrzenia zachodniej Europy w potrzebny jej płynny gaz, LNG, skądinąd czerpany z wyjątkowo szkodliwej dla środo-

na specjalnie wywołanym konflikcie w zupełnie innej sferze. A pilnie należy do sprawy wrócić, uświadamiając sobie, że uratowanie ludzkości w sposób demokratyczny przed przegrzaniem klimatu możliwe będzie jedynie w przypadku przesunięcia na związane z tym celem ogromnych środków publicznych z marnotrawnych wydatków wojskowych.

Komu to się opłaca?

Tak oto deeskalacja syndromu ukraińskiego, do której z czasem dojdzie, jest zdecydowanie nie na rękę najpotężniejszemu lobby tak w USA, jak i w Rosji. Natomiast zainteresowane są w tym inne kraje, również tak kluczowi członkowie NATO jak Niemcy, które nie dają się wciągnąć w destruktywny dla pokoju młyn dozbajania Ukrainy, oraz Francja i Włochy. Przywódcy tych państw - kanclerz Olaf Scholz, premier Mario Draghi, a zwłaszcza prezydent Emmanuel Macron - dają swoimi czynami i słowami nadzieję na zahamowanie narzucanego przez amerykańskich, brytyjskich i rosyjskich jastrzębi lotu cmy do ognia. Zrozumiałe przy tym, że wszyscy chcą z tej matni wyjść z twarzą, co wbrew pozorom wcale nie będzie takie trudne. Każdy - tak prezydent Władimir Putin, jak i prezydent Biden, zarówno zachowujący zimną krew prezydent Wołodymyr Zelenski, jak też panikujący i każący Brytyjczykom ewakuować się z Ukrainy oraz sąsiadnich Białorusi i Mołdawii premier Boris Johnson - post factum będzie twierdził, że wyszło na jego. Każdy z nich będzie utrzymywał, że osiągnął to, o co mu chodziło.

Wiadomo, że Ukraina do NATO nie zostanie przyjęta, ale nikt na Zachodzie nie potrafi tego publicznie przyznać. Osiągnięty będzie postęp we wdrażaniu porozumień z Mińska dotyczących wschodnich rejonów Doniecka i Ługańska, co wymaga większej dozy dobrej woli obu skonfrontowanych stron. Prezydent Putin nie skorzysta zapewne z upoważnienia Dumy do uznania niepodległości tych regionów, natomiast wykorzysta ten mandat do wywarcia presji na ukraińskich partnerów, aby byli bardziej ustępliwi wobec zamieszkującej tam rosyjskiej ludności. Z tonu muszą spuścić zarówno ukraińscy nacjonaliści, zwłaszcza ci tkwiący na dobrych i ciepłych posadach w Kijowie, jak i rosyjscy uzurpatorzy wygodnie i bezpiecznie ulokowani w Moskwie. Dobrze się stanie, jeśli na Ukrainie przestanie się represjonować język rosyjski i znowu w akademickich periodykach będą ukazywać się, co obecnie jest zakazane, artykuły naukowe po rosyjsku, którym to językiem posługuje się większość ukraińskich uczonych, a na Uniwersytecie w Charkowie, gdzie przytłaczająca większość studentów i pracowników naukowych jako swój pierwszy język traktuje rosyjski, będzie można w nim pisać prace magisterskie i wysłuchiwać mądrych wykładów.

Politycy zachodni będą we właściwym sobie stylu obroń-

ców demokracji i pokoju utrzymywać, że to dzięki ich groźbom nałożenia najpoważniejszych w dziejach sankcji na Kreml i jego ekipę uniknięto nieuchronnego najazdu Rosji na Ukrainę. Politycy rosyjscy z ich przedstawianym w zachodnich mediach na modłę diaboliczną prezydentem będą powtarzać to, co mówili cały czas, a mianowicie, że nigdy nie mieli takiego zamiaru. Każdy pozostanie przy swoim, dzięki czemu współcześni komentatorzy i przyszli historycy będą mieli o czym pisać, a to przywołując Sarajewo, a to Monachium, a to Kuba.

Przy okazji już wszystkim udało się odwrócić uwagę od piętrzących się problemów wewnętrznych. W USA jakby ciszej o dyskryminacji rasowej i pęknięciu społeczeństw na pół, o fatalnych skutkach złej polityki przeciwdziałania pandemii Covid-19 i nierozwiązanych problemach migracji, o dotkliwych nierównościach dochodowych i szerokim obszarze wykluczenia społecznego. W Wielkiej Brytanii dzięki zimnowojennemu amokowi na czas jakiś udaje się przysypać blamaż związany z brexitem, którego zagorzałym zwolennikiem był aktualnie urzędujący premier. Wszędzie - w Polsce też - są sprawy ważne i ważniejsze. No i ważniejsza jest walka z barbarzyńcami u bram - choć nie u naszych, to u sąsiednich - niż z inflacją, do której syndrom ukraiński też się przyczynia, chociażby przez podwyższanie cen energii i destabilizację rynków. Panikowanie nigdy nie sprzyja walce w inflację, co bardziej wydaje się rozumieć prezydent Zelenski niż Biden.

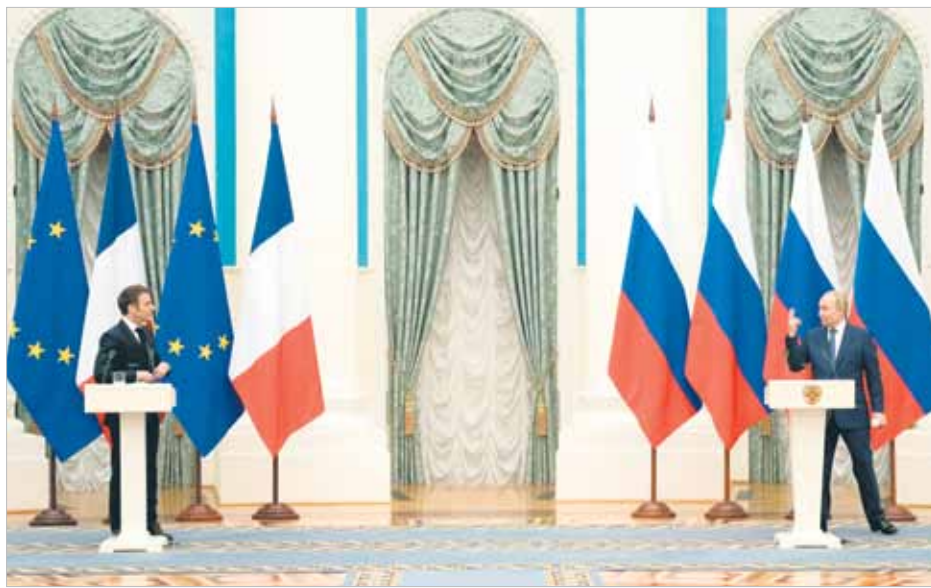
Pamiętajmy cały czas, że rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele dzieje się naraz. Nie inaczej jest i tym razem. W swojej zatroskanej dbałością o pokój retoryce poważni, wydawałoby się, politycy i komentatorzy NATO-wscy, znowu przede wszystkim ci amerykańsko-brytyjscy, posuwają się nawet do insynuacji o koordynacji jakoby grożącego nam najazdu Rosji na Ukrainę i Chin na Tajwan. Choć daleko od siebie, to różnie ramie; należy tylko poczekać, aż zakończy się olimpiada w Pekinie... Tymczasem podejrzewać można, że tandemem Stany Zjednoczone-Wielka Brytania chodzi również o odwrócenie uwagi od przygotowań do nadchodzącego (oczywiście za ich wiedzą i we współdziałaniu z nimi) ataku Izraela na nuklearne instalacje w Iranie.

Zanim schorowana polityka otrzeźwieje, warto przypomnieć hasło, które odegrało swego czasu wielką rolę: „Make love, not war!”.

Autor jest wykładowcą Akademii Leona Koźmińskiego, był wicepremierem i ministrem finansów w latach 1994-1997 i 2002-2003.

OD REDAKCJI

Poglądy wyrażane przez autorów goszczących na łamach „Rzeczpospolitej” nie zawsze odzwierciedlają stanowisko redakcji. W czwartkowej „Rz” polemikę z powyższym tekstem podejmie prof. Roman Kuźniar - w latach 2010-2015 doradca prezydenta RP ds. międzynarodowych.



Prezydent Francji Emmanuel Macron podczas spotkania z prezydentem Władymirem Putinem

- abstrahując od szaleńców - w zupełności wystarczy; gorąca już nie jest konieczna. To lobby militarne-przemysłowe z jego zapleczem profesjonalnych polityków i manipulujących opinią publiczną mediów. Tym razem to nie tylko lobby działające na Zachodzie, lecz również w Rosji i Chinach oraz niektórych innych regionalne ważnych krajach, jak Turcja, Arabia Saudyjska czy Indie. Eskalacja zimnowojennej euforii znakomicie nakręca spiralę zbrojeń, za zwiększaniem których w zaistniałej sytuacji łatwiej opowiadać się też w Moskwie i Pekinie. Argumentów za wzrostem nakładów na tzw. obronę narodową jej rzecznikom nie brakuje, a zastraszeni iluzorycznym widmem wojny podatnicy jakoś nie chcą przeciwko temu protestować. Na razie, bo gdy poczują koszty tego awanturnictwa, to będą demonstrować swoje niezadowolone, także na ulicach.

Długa ścieżka

Odwiliż polityczna, która nastąpiła po 1989 r., pociągnęła za sobą spadek światowych wydatków wojskowych aż o ok. jedną trzecią - z ponad półtora biliona dolarów w 1990 r. do

Teraz, po niepowodzeniu misji w Iraku i amerykańskiej klęsce w Afganistanie, konieczny jest powód do utrzymania wydatków wojskowych na wyśrubowanym poziomie. W USA wynoszą one w tym roku ponad 750 mld dolarów; to o 15 proc. więcej niż wartość dochodu narodowego wytwarzanego w Polsce. Świetnie do tego nadaje się konflikt wokół Ukrainy, której Zachód, w tym Polska, dostarcza broń i amunicję, opróżniając z rozmaitego rodzaju własne arsenały, które - a jakże! - trzeba będzie szybko uzupełnić. Ręce zacierają siły związane z sektorami zbrojeniowymi nie tylko w NATO, bo w innych krajach, bynajmniej nie wyłączając Rosji i Chin, też. Spirala wyścigu zbrojeń się rozkręca i niełatwo będzie ją przerwać. Świat już przeznaczają na „obronę narodową” ok. 2 bln dolarów, czyli 2,35 proc. światowego produktu brutto.

Rosja nie zamierza zaatakować Ukrainy. Prezydent Putin rozumie, że Rosja na tym akcie straciłaby na arenie światowej bardzo dużo, a on sam władzę i estymę, jaką się wciąż w kraju cieszy. Zależy natomiast Rosji na osłabianiu spójności Zachodu, w tym NATO, co pomimo buńczucznych deklaracji ich przywódców się udaje. Prze-

wiska naturalnego eksploatacji łupków, która znowu wskutek skokowego wzrostu cen stała się zyskowna. I tu ocieramy się o drugie wielkie lobby zainteresowane podżeganiem konfliktogennej sytuacji; to lobby energetyczne. Na pewno nie w Chinach, które są importerem netto energii ze źródeł kopanych, ale ani chyba w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Rosji. Ta grupa interesów szczególnie dobrze wychodzi na narastających napięciach politycznych, bo wraz z nimi szybko rosną ceny energii. Tona gazu już kosztuje 77,4 euro, ponadczterokrotnie więcej niż przed rokiem. Baryłka ropy naftowej już kosztuje ok. 94 dolarów, o ponad 15 proc. więcej niż zaledwie kwartał temu.

To zdumiewające, jak szybko - zaledwie parę miesięcy po zwyciężonych powodzeniem negocjacjach na globalnym szczycie klimatycznym COP26 w Glasgow - prawie zupełnie z wokandy zeszyły sprawy przeciwdziałania niekorzystnym zmianom klimatycznym. Grupy interesu związane z wytwarzaniem energii przyczyniającej się do zgubnego ocieplania klimatu, nie chcą angażować się w nieuchronny proces przyjaznej środowisku transformacji energetycznej, zarabiają krocie